

Teksty Drugie 1992, 5 , s. 123-127



Portret Brunona Schulza z rejestrem klasowym w ręku

Tadeusz Wójtowicz

Świadectwa

Tadeusz Wójtowicz

Portret Brunona Schulza z rejestrem klasowym w ręku

Pierwszy mój kontakt osobisty z Brunonem Schulzem, w początkowych miesiącach gimnazjum, był wstrząsający: uderzył mnie on z całej siły w głowę klasowym rejestrem.

Co zrobiłem wtedy, żeby wywołać brutalną złość człowieka, u którego wszelki ślad brutalności zdawał się nie istnieć? Czy było to jakieś zuchwałe zachowanie, którym usiłowałem czasami w tym okresie pokryć moją nieśmiałość w nowym otoczeniu?

Byłem mianowicie jednym z „nowych” w klasie, jednym z tych, którym ostatnie zarządzenia pozwalały rozpocząć średnią szkołę w wieku ponad 13 lat. Dodatkowo byłem jedynie pół-miejskim produktem, pierwszym w mieście urodzonym dzieckiem rodziny, która przeszła z wioski w Karpatach do stolicy naftowego okręgu.

Nowy dla mnie sposób życia, nie znane mi dotychczas zachowanie się nauczycieli były w moich oczach mieszanką ironii i powagi. Rodzaj ironii chyba typowy dla elity prowincjonalnej: ironia pozwalająca ujarzmić świadomość nieuniknionej prowincjonalności, no i ta powaga, która właściwie odpowiadała elicie jako jedynej nosicielce ducha w takich bezdusznych kątach świata.

W istocie, ironia utożsamiała się z samym duchem — to był samo-

świadomy stan. Gdy zapowiadany był odczyt lub przedstawienie jakiegoś pisarza lub artysty, mówiono: „Co może on być wart, jeżeli pojawia się u nas?” I publiczność, choć obecna, zachowywała ironiczną powściągliwość, swoją obronną powagę.

Podobnie nauczyciele traktowali nas, swoich uczniów. My zaś przyjmowaliśmy tę chłostę, bo wyczuwaliśmy w niej rodzaj rytuału, wprowadzenia do prowincjonalnej elity. Tak więc manifestowaliśmy pobożnie i z wysiłkiem uroczystą cześć od dzwonka do dzwonka, płaciliśmy podatek od naszego uznania, unikając w ten sposób w nas samych rozdarcia, spajając niepokojące sprzeczności za pomocą ceremonialnej procedury. Poza tym nie uznawaliśmy osobistego istnienia profesora na zewnątrz szkoły, ledwie uświadamialiśmy sobie jakąś ich rzeczywistość gdzie indziej niż w naszym kolegium. Widok ich żon i dzieci był dla nas dziwnym zjawiskiem, rodzajem kazirodztwa. Samo wyobrażenie ich intymnego życia wywoływało u nas wesołość nie wyznanego gatunku. Wszystko w tym nowym otoczeniu było przytłaczające, przyciągało mnie i równocześnie odpychało ku mojej banalnej egzystencji, która nagle ujawniała się w mojej świadomości jak rodzaj pleśni. Co się tyczy ironii i ceremonii u naszych nauczycieli, byłem wydany na ich łup, bo miały one we mnie samym tajemniczych aliantów. W szkole starałem się ukryć, chciałem być — o ile możliwe — tam, gdzie obrządek nie przytłaczał mnie. Do takich momentów należały lekcje rysunku i prac ręcznych Brunona Schulza.

Właściwie nazywaliśmy go między kolegami zawsze i wyłącznie „Schulz”. W naszych rozmowach istniał on swoim nagim nazwiskiem, tak jak w klasie istniał swoją nagą obecnością. Nie mieliśmy dla niego żadnego z tych przydomków, którymi stemplowaliśmy osobiste maniere innych profesorów. Schulz był poza ironią lub ceremonią, chociaż nic u niego nie było określone, wszystko istniało gdzieś na zewnątrz klasy, należało do jego właściwej istoty, do świata, którego nie byliśmy współwłaścicielami — jak u innych nauczycieli.

Był on niskiego wzrostu, mniejszy od wielu z nas, w ubraniu ciasnym, a jednak wyglądającym jak częściowo próżne. To ubranie nosiło go, zamiast być noszonym. A jednak nikt nie myślał o nim nigdy w kategoriach wymiarów, lecz w miarach intensywności. Nie rozchodziło się tu wcale o jakiś osobisty magnetyzm, którym chciałby on nas opanować. Przeciwnie — on jak gdyby negował odpowiedzialność swojej obecności, odpychał ją rękoma, starał się jakby za sobą samym ukryć się przed

naszą uwagę. Im bardziej jednak chciał zniknąć, tym potężniej był obecny, zgęszczał to, co usiłował rozpuścić. Jego intensywność ogniskowała się w twarzy, i to nie tylko w jej wyrazie, lecz przede wszystkim w jej konturze ożywionym geometryczną dynamiką.

Twarz było równobocznym trójkątem, skierowanym ku lekko pochyłej linii jego ramion. Cała struktura wyrażała przy tym wznawiającą się bezustannie zuchwałość, rodzaj prowokacji naturalnych reguł przestrzeni, była także kontrastem morfologicznych znaczeń, przez głęboko zanurzone oczy i nieco ukośne wargi, które wydawały się negować wszystko, co mówił i negować nawet rzadki, niespodziany przebłysk uśmiechu.

Tak stał on wśród nas, jak marzenie lub rodzaj latawca oscylując na wietrze, przytrzymywany zaledwie niepewnymi więzami. Jego zjawienie się i pierwszy odruch dawały wrażenie nie przewidzianego spotkania, jak gdyby ciemny labirynt w głębiach jego oczu nagle doprowadzał go do jasnej przestrzeni, wypełnionej młodymi twarzami, i jakby używał on nas do dalszej improwizacji, wraz z nim, na tle tego nieoczekiwanego zjawiska. Temat jego godzin nauczania nie istniał przed nami, lecz gromadził się w niewytłumaczalny sposób za nami, bo tylko sięgając w przeszłość odkrywaliśmy niespodzianie zarys przygotowanego programu we wszystkim, co było nam uprzednio powiedziane. Rzadko orzekał on o czymś, raczej sugerował, zalecał, kierując swoje refleksje na coraz zwartsze kręgi, aż do środka, gdzie znikał wnioskując coś odnośnie całości... i stawiając równocześnie wszystko znowu pod znakiem zapytania. Ten bieg myśli odpowiadał często jego krokom w coraz mniejszych kołach, drobne stopy dotykające podłogi przypominały dłonie, aż on sam nagle — osiągając centrum — jak fryga odwracał się ku tablicy, gdzie coś rysował, jak gdyby retrospektywny pretekst tego przymusowego krążenia... Schulz „kontrolował” nas, ofiarując się nam, wiązał nas, improwizując przed nami. Nic dziwnego, że widząc owego dnia Schulza chwytającego rejestr i oddalającego się od katedry z twarzą rozgniewaną, oczekiwałem wyjątkowo dramatycznej improwizacji w swoim rodzaju, sceny wartej mojej uwagi. Dlatego wyobrażam sobie, że w moich oczach było więcej zmieszanego zdumienia niż strachu, gdy zbliżył się do mnie, podniósł rejestr i gdy trójkąt jego twarzy, obramowany parą rąk, nachylił się nade mną z piorunującymi oczyma i wilgotnym niższym kątem ust. To był Mojżesz, który nie tyle chciał mnie ukarać, co pozbyć się w moich oczach tej nieznośnej nieświadomości, jak też zdruzgotać za jednym

zamachem tę łączącą nas pozornie tablicę przykazań — i siebie samego. Po tym gwałtownym wydarzeniu odnalazłem twarz Schulza i na jej widok nieład raz jeszcze zapanował w mych myślach — tak jak przylegamy do muru w obliczu czegoś nieoczekiwanego. Bo ta twarz nie była twarzą nauczyciela starającego się opanować po zrozumiałym wybuchu, nie było to osłupienie człowieka dojrzałego, który rozważa — zdumiony — swój niedopuszczalny czyn wobec młodzieńca. Nie — twarz Schulza leżała przede mną jak plama potu na chusteczce, pusta, nieograniczenie poddana: przekazywała mi ponad sobą moc Pana i władzę Sędziego.

Szybkie rozpuszczenie życiowego dramatu w codziennej banalności zapewne pomogło nam obydwu rozplątać nasze wzajemne spojrzenia. Dla moich kolegów był ten incydent mile widzianym odprężeniem, czymś zupełnie niewiarygodnym u Schulza — i właśnie dlatego „schulzowatym”. Mnie zaś długo obsiadał smak jakiejś nowej wiedzy, poza zasadami moralności, coś, czego chciałem się pozbyć i co tym bardziej odświeżało wspomnienie zajścia — z tą ciekawością nie chcącą wiedzieć, która jest męką lat młodości.

Po lekcji Schulz przystąpił do mnie na korytarzu. Ani słowa o tym, co się stało. Pytał o moje życie rodzinne, chciał wiedzieć, co mnie interesuje. Jego spojrzenie było we mnie utkwione, jego ton sugerował rodzaj porozumienia między nami, wspomnienie wspólnego przeżycia. Powiedział też, że chciałby mnie narysować.

Zrobił to w czasie jednej z lekcji. Było jego zwyczajem rysować wraz z nami ten sam obiekt lub szkicować ucznia. Mój portret wykonał kolorowymi kredkami i bez wątpienia nie był zadowolony z wyniku. Obszary światła i cienia kreskował delikatnie ołówkiem lub piórem. W moim wypadku twarz muzyka, płaskonosa, może oparła się jego tajnej woli, jego przyrodzonej potrzebie przekształcania. Wciąż na nowo ostrzył swoje kredki, wciąż na nowo się łamały. W końcu wygładził palcem tkaninę kresek i wręczył mi szkic; przy czym lekki uśmiech drżał na jego wargach.

Znajduję rodzaj post scriptum do tych moich wspomnień w dwóch wyimkach z listów Schulza pozostałych po wojnie, które kilka lat temu opublikowano.

Pierwszy mówi:

Jestem bardzo zdeprimowany: urlop, na który tak liczyłem, nie został mi przyznany. Zostaję w Drohobyczu, w szkole, gdzie nadal hałastra będzie wyprawiała harce na moich nerwach. Trzeba bowiem wiedzieć, że nerwy moje rozbiegły się siecią po całej pracowni

robót ręcznych, rozprzestrzeniły się po podłodze, wytapetowały ściany i oploty gęstą plecionką warsztaty i kowadło. Jest to znane w nauce zjawisko pewnego rodzaju elektryki, mocą której wszystko, co dzieje się na warsztatach, strugnicach itd., dzieje się poniekąd na mojej skórze. Dzięki tak znakomicie rozbudowanej sieci sygnalizacyjnej jestem predestynowany na nauczyciela robót ręcznych.

W drugim wycinku odpowiada Schulz na uwagi adresata co do szkolnej dyscypliny:

Nie, tak źle to nie jest. Złośliwości nie zauważam u nich, tylko naturalny w tym wieku temperament.

O d r e d a k c j i: Wspomnienie to, pióra zmarłego już świadka tamtych czasów, otrzymaliśmy od pana Erwina Schenkelbacha, drohobyczanina, którego ojciec przyjaźnił się z Schulzem i dostarczał mu płyt fotograficznych dla jego *cliches-verres*. Czas nie pozwolił nam na zapoznanie się z oryginałem tekstu (nie wiemy nawet, w jakim języku powstał), tłumaczenie polskie wymagało sporych korekt, ten kolejny portret Schulza prześwieca więc z oddali — jakby wielokrotnie odbity i zniekształcony. A jednak wartość i oryginalność tego świadectwa wydaje się niezaprzeczalna. Wdowie po Autorze, pani Edith Wojtowicz z Australii, serdecznie dziękujemy za udostępnienie tekstu.